

ANNA ROZENBERG

Mroczna przeszłość powraca zawsze w najmniej
oczekiwanym momencie

MASKI POŚMIERTNE



MASKI POŚMIERTNE

ANNA ROZENBERG

MASKI POŚMIERTNE

Copyright © Anna Rozenberg, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktorzy prowadzący: Adrian Tomczyk, Agata Ługowska
Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska
Redakcja: Aleksandra Deskur
Korekta: Karolina Borowiec-Pieniak, Marta Akuszczeńska
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Fotografia na okładce: © bdauid32 | Shutterstock
Fotografia autorki na skrzydełku: Dominik Tamiola

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 70 g/m² vol. 2,0
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

ISBN 978-83-66736-73-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Lenie – za miłość i cierpliwość
Pawłowi – za miłość i ołówki

PROLOG

Wiatr coraz silniejszymi uderzeniami zwiastował nadchodzący sztorm. Ben Taylor podejrzewał, że jeszcze jedna taka burza i stróżówka pójdzie na szmelc. Śmierdząca pleśnią i rybim mięsem buda była jego drugim domem.

Stojąc przy kuchence gazowej, nad którą próbował ogrzać skostniałe dłonie, wspiał się na palce, by dostrzec koniec moło. Bezskutecznie. Naciągnął mocnej czapkę i wyjął ze starej, sfatygowanej torby kanapkę, od dziesięciu lat taką samą. Przeżuwając kęs za kęsem, czuł znajomy smak: dojrzały cheddar, szynka i pomidor. Stara Emma, jego pocziwa stara Emma, popadła w rutynę. Jak cała ich egzystencja.

Nie narzekał. W jego wieku stabilne życie było towarem tyleż pożądanym, co deficytowym. W Crown & Anchor, gdzie co tydzień spotykał się z dawnymi kumplami z kutra, wciąż słychać było pełne żalu głosy tych, którym nie wyszło. Robota poławiacza krabów była świetnie płatna i śmiertelnie niebezpieczna. Wielu odeszło na renty, nim zdążyło spłacić kredyty zaciągnięte na dom, na które tylko w teorii było ich stać. O ubezpieczeniach wtedy mało kto myślał. Bez domu

i żony, która zwinęła się przy pierwszych problemach, mężczyźni kończyli marnie.

Wielu z nich wraz ze smartfonami odkryło jednak aplikacje randkowe. Stary bosman z obrzydzeniem pomyślał, że w ostatecznym rozrachunku służą one wyłącznie do jednego. Doświadczenie mówiło mu, że pod pancerzem rubasznego rechotu i szowinistycznych tekstów koledzy ukrywali samotność.

Ben był szczęściarzem. Miał swoją kanciapę i wolne od kredytów konto, na które co miesiąc wpływała pensja wystarczająca na ten cholerny ser, a także na szynkę, a nawet na pomidora. Wbrew pozorom nudna kanapka z rąk nudnej Emmy miała smak szczęścia.

Usiadł na drewnianym stołku i drżącymi dłońmi złapał za dratwę. Pewnie wykonał pierwsze szycie w sieci. Rozkapszowana ostatnio pogoda dostarczała mu wiele pracy. Polawiacze krabów wprost zasypywali go robotą. Może dzięki temu będzie mógł kupić Emmie tę torebkę w sklepie Marks & Spencer?

Podniósł na chwilę głowę, by dać odpocząć mięśniom szyi, i wyjrzał przez okno. Jego wątłe, starcze ciało przeszedł dreszcz. Musiało być bardzo późno, bo czuł się, jakby piasek dostał mu się pod powieki. Przetarł suche oczy, ale wciąż to widział. Gdy niebo rozświetliła błyskawica, wiedział już, że nie może być mowy o pomyłce. Zerwał z kołka sztormiak i wyszedł na zalane wodą molo. Podmucha lodowatego powietrza natychmiast rzucił go na ścianę stróżówki. Chciał krzyknąć, ale wiatr wypełnił mu usta. Zrobił krok do przodu, poślizgnął się i upadł. Potworny ból rozsadził mu czaszkę. Chciał się podnieść, ale było już za późno.

Człowiek na końcu moła rozpostarł ramiona niczym skrzydła i skoczył.

Zanim Ben Taylor stracił przytomność, usłyszał przy głowie tupot ciężkich butów.

ROZDZIAŁ I

Niedziela, 6.10.2013

Zawieszona między gałęziami drzew mgła od kilku godzin nie mogła opuścić miasteczka. Żaden z pogrążonych w niedzielnym śnie mieszkańców niewielkiego Woking nie przypuszczał, że za oknami jego ciepłego domu przejeżdżają kolejne radiowozy. Odbijające się w zaporowanych szybach niebieskie światła sprawiały wrażenie, jakby ktoś przedwcześnie włączył świąteczną iluminację.

Inspektor David Redfern zakładał w pośpiechu buty. Trzymając w ustach zeschlą kanapkę, której nie dojadł poprzedniego wieczora, wiązał sznurowadła i cicho kłął pod nosem. Nie miał czasu spojrzeć na panoramę miasta za oknem, iskrzącą się w porannych promieniach słońca. Kilkaście minut temu odebrał telefon, który sprawił, że pierwszy raz, odkąd wprowadził się tutaj, poczuł dreszcz emocji.

Zatrzasnął drzwi i nie czekając na windę, rzucił się biegiem po schodach bloku. Budynek przy ulicy Constitution Hill był najwyższy w tym małym podlondyńskim miasteczku.

Ciepła dotąd jesień zaskoczyła go fantazyjnymi malunkami szronu na szybach samochodów. Ze złością się zorientował, że skrobaczka, którą woził w skrzynce narzędziowej swojego triumpha GT6, zniknęła. Wbrew przepisom uruchomił silnik. Czekając, aż szron ustąpi pod naporem ciepłego powietrza z dmuchaw, rozmyślał o lakonicznym komunikacie od dyżurnego: mieszkańcy eleganckiej dzielnicy Mayford zgłosili znalezienie zwłok kobiety, której poderżnięto gardło. Całej reszty miał się dowiedzieć na miejscu.

Włączając się do ruchu na Guildford Road, przepuścił zdezelowanego vana. Gdy wtoczył się na drogę, coś nagle pacnęło o szybę i szybko odleciało. Wydawało mu się, że widział czerwoną różę, ale przypisał to kolejnej nieprzespanej nocy. Jednak kiedy tuż przed maską roztrzaskała się ceramiczna doniczka, nie miał już wątpliwości. Z otwartych drzwi vana kolorowym trenem wypadały kwiaty. Redfern zredukował bieg i wyprzedzając beztroskiego kierowcę, dał mu znak, by zjechał na pobocze.

– Czy pan oszalał? – zaatakował siedzącego za kierownicą staruszka, kiedy tylko dopadł do furgonetki.

– Co się stało?

– O mało mnie pan nie zabił! – usiłował przekrzyknąć przejeżdżającą obok ciężarówkę. – Ma pan otwarte drzwi! Wszystko leci na ulicę.

– O rany boskie! Moje kwiaty! – Mężczyzna złapał się za głowę, po czym wybiegł z samochodu.

– Za brak zabezpieczenia ładunku powinien pan dostać mandat! – huczał Redfern, ale staruszek nie zwracał na niego uwagi, próbując pozbierać z drogi rośliny.

Inspektor wiedział, że niewiele z nich da się uratować. Patrzył na zrozpaczonego starszego człowieka, który zbierał je niezgrabnymi ruchami. Po chwili miał całe naręcze. Poprawiał je z czułością, ale główki kwiatów chyliły się ku ziemi. Redfernowi zrobiło się smutno i wbrew rozsądkowi zaczął razem z nim zbierać rośliny i wkładać je do auta.

– Wiozłem je na targ do Guildford. Mam szklarnię w Chobham. – Mężczyzna wskazał na furgonetkę z pożółkłym napisem „Longacres Garden Shop”. – Tak zarabiam na chleb. Ale stara głowa już nie taka jak dawniej. Mandat, pan mówi? Mnie już wszystko jedno – powiedział zrezygnowany, patrząc na uślaną kwiatami drogę.

– To nie głowa zawiodła, tylko zamek – skwitował Redfern, wskazując na wyłamaną klamkę.

– Faktycznie. – Staruszek pokiwał siwą głową. – Tak czy inaczej na targ nie dojadę.

– Niech pan poczeka.

Redfern podbiegł do triumpfu i wyciągnął z bagażnika skrzynkę z narzędziami, jaką ma każdy posiadacz starego samochodu. Wibrująca w kieszeni komórka przypomniała mu, że powinien już być na miejscu zbrodni, ale było mu żal tego człowieka. Szybko znalazł duży śrubokręt i młotek i wrócił do furgonetki. Postukał w poluzowaną blachę i przykręcił klamkę.

– Jest pan z policji? – Staruszek spojrzał z przestrachem na otwarty bagażnik, w którym spoczywała charakterystyczna odbłaskowa kamizelka. – No to teraz mandat murowany.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – David uśmiechnął się i zatrzasnął klapę. – Proszę jechać. Będę jechał chwilę

za panem, żeby się upewnić, że zamek nie puści. Mam po drodze.

– Dziękuję panu z całego serca. – Staruszek się ucieszył. – Gdyby pan kiedyś potrzebował kwiatów, na przykład na wesele, to proszę dać mi znać.

Na wesele, dobre sobie, zaśmiał się w duchu Redfern, ale przyjął od mężczyzny wizytówkę. Wsiadł do samochodu i poczekał, aż kwiaciarz go objedzie, po czym ruszył za nim i zjechał dopiero, gdy zobaczył drogowskaz na Mayford.

David Redfern doskonale znał to miejsce. Jadąc do Working, często zatrzymywał się tu, by na ogromnych połaciach Pyle Hill jego suczka Harpia mogła się wybiegać. Zanim zabrała ją starość, pomyślał smutno. Sam spacerował wtedy wzdłuż grubej ściany drzew, która oddzielała pole od ruchliwej trasy na Guildford. Po przeciwnej stronie zza wysokiego żywopłotu zerkwały na nich jedynie lukarny starej posiadłości.

Kiedy rzucona setki razy piłka tenisowa zmieniała się w przesiąkniętą śliną włochatą kulę, wracali do domu. Suczka niechętnie wchodziła do samochodu i nawet kiedy wjeżdżali już na Eagly Road, tęsknym wzrokiem patrzyła na znikającą za zakrętem zieleni.

– Egzekucja – usłyszał.

Posterunkowy Christopher Tinney ubrał w słowa to, co Redfern miał w głowie, odkąd zobaczył ciało. Jednak tym, co najmocniej przykuło uwagę starszego inspektora, nie było ani rozplatane, pełne much gardło, ani posiniaczona, nabrzmiąta twarz. U jego stóp leżała biała kobieta. Zwłoki ułożone w coś na kształt strzałki, której grot stanowiły łydki, nasuwały przypuszczenie, że w chwili śmierci musiała klęczeć przed oprawcą. Następnie jej odchylone do tyłu ciało

poddało się grawitacji i upadło, zastygając w ten sposób. Detektywa zdziwiła jeszcze jedna rzecz. W tych okolicach aż roilo się od lisów, które z pewnością skorzystałyby z łatwego posiłku. Mimo to zwłoki pozostały nietknięte. David długo im się przyglądał, starając się zapamiętać każdy szczegół.

Kobieta w średnim wieku w ocenie Redferna w nieelegancki sposób żegnała się z młodością albo raczej kurczowo się jej trzymała. Ufarbowane na seledynowo, długie włosy, neonowe tipsy i liczne kolczyki w uchu sytuowały ją w szufladzie z napisem „Rycząca czterdziestka”. Usta i jedno oko miała otwarte, drugie, spuchnięte od uderzenia, przypominało śliwkę węgierkę. W rozdartej, odsłaniającej piersi bluzce i wąskiej jeansowej spódnicy wyglądała jak wyrzucona na brzeg syrena.

– Tak to wygląda. – Pokiwał bez przekonania głową. – Co ze świadkiem?

– Linda z nią pracuje. Kobieta jest w szoku.

– Dobra, nie będę im przeszkadzał. Linda najlepiej sobie z tym poradzi. A techniczni i reszta?

Tinney wzruszył ramionami i z rezygnacją odszedł w stronę radiowozu.

Błękitne dotąd niebo zasnuło się chmurami. Redfern poczuł na sobie pierwsze krople deszczu. Przeklął w duchu. W takich warunkach ślady będą znikać bardzo szybko. Ze złością pomyślał o patomorfologu, który powinien tu być jakieś piętnaście minut temu. Ted, mimo ogromnego talentu i jeszcze większego doświadczenia, miał mnóstwo wad. Między innymi opieszałość.

David kucnął przy denatce. Zająte składaniem jaj muchy nie wzbily się do lotu. Nie zrobił na nich wrażenia nawet

padający coraz gęściej deszcz. Inspektor machnął nad nimi ręką, by móc przyjrzeć się ranie. Równe brzegi i klinowaty kształt sugerowały ostre narzędzie o gładkich krawędziach, nóż albo brzytwę. Albo coś bardziej fantastycznego. Redfern nie chciał spekulować.

Jego wzrok powędrował teraz do nienaturalnie ułożonych nóg i dalej, do ścieżki. Od ciała w tamtym kierunku biegły dwie linie. Prawdopodobnie kobieta była wleczona. Wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę tak dobrze mu znanej ściany drzew. Nagle ślad się urwał, a w jego miejsce pojawiły się odciski butów. Głębokie i wyraźne. Niewiele myśląc, David sięgnął kurtkę i położył na wgłębieniach, by uchronić je przed ulewą.

Niosłeś ją, ale się zmęczyłeś, pomyślał, rozglądając się po łące w poszukiwaniu odpowiedzi, gdzie morderca zaczął swój makabryczny spacer.

Wreszcie to zobaczył. Tuż u wylotu na Pyle Hill Road, przy małej szutrowej zatoczce, niewielkie wgniecenie na rozmokłej ziemi i załamana pod dużym ciężarem trawa przyniosły odpowiedź. Na gałęziach krzewów dostrzegł małe, rozpryski krwi. Tu doszło do ataku.

Syrena pośrodku niczego. Sprawca albo wiedział, że tu znajdzie kobietę, albo też ją śledził.

Inspektor David Redfern odwrócił się w stronę nadjeżdżającego wozu techników. Zdawał sobie sprawę, że zatoczka jest najlepszym miejscem do zaparkowania, ale dał znak ręką, by kierowca zatrzymał się dalej. Możliwe, że mógłby zatrzeć ważne ślady.

– To tu, prawda? – Tinney miał niewątpliwy talent do bezszelestnego skradania się. – Tutaj ją napadnięto.

– Tak mi się wydaje. Tylko co ona tu robiła w środku nocy?

– Może szła od kogoś z Pyle Hill? Ostatecznie to dzielnica willowa. Może ktoś ją rozpozna?

– Znajdź kogoś z lokalnej straży miejskiej, podeślij mu zdjęcie, niech się przejdzie po tych domach. Na razie nie mamy nic.

– OK. – Posterunkowy wygrzebał z kieszeni telefon i ostrożnie poszedł w stronę zwłok.

Redfern odprowadził go wzrokiem. Wzdłuż drogi szli w jego kierunku technicy, taszcząc ze sobą walizki ze sprzętem. Tuż za nimi podążał Ted, najlepszy znany mu patolog.

– Wcześniej się nie dało? – mruknął na powitanie mężczyzna.

– Dało się, ale w pełnym słońcu mielibyście za łatwo. – Redfern przetarł ręką mokłą od deszczu twarz. – Teraz macie pole do popisu.

– Korek był.

– Trzeba było wcześniej się zebrać. Prokuratorka siedzi od kwadransa w samochodzie i dostaje szału.

– Nie mędrkuj, tylko mów, co mamy – uciął lekarz.

– Liczę na to, że ty mi powiesz, Ted – rzucił Redfern i poszedł w stronę karetki, w której miał nadzieję spotkać Lindę i świadka.

Szum deszczu nie zdołał zagłuszyć słów młodszego technika, który właśnie rozpakowywał sprzęt:

– Nie wiem, komu inspektorek włożył do dupy, że po tym wszystkim, co odpięrzył, przydzielili go tutaj.

Redfern przystanął w pół kroku. Wiedział, do czego tamten pije. Chciał coś odpowiedzieć, ale odpuścił. Ostatniego

lata złożył obszerne zeznania w wydziale wewnętrznym i przed nikim więcej nie musiał się tłumaczyć. Z wyjątkiem własnego sumienia, które codziennie przypominało mu, że kilka miesięcy temu zastrzelił policjanta i najlepszego przyjaciela.

Kierowca żółtego vana szykował się do odjazdu. Pani świadek nie wymagała hospitalizacji, co najwyżej filiżanki herbaty. Ratownik wskazał Davidowi drogę do domu, w którym mieszkała.

Keep calm and drink a tea, pomyślał cierpko Redfern. Wiedział, że kobiecie długo będą się śniły sine, zakrwawione zwłoki. Każdej nocy jej mózg, niczym zacięta płyta, będzie odtwarzał ten obraz.

Posiadłość Little Wood sprawiała wrażenie wyjętej z odcinka *House of Cards*. Długi brukowany podjazd i dwa potężne skrzydła budynku idealnie nadawały się na scenę popularnego ostatnio serialu. Zachęcony przez kolegów, Redfern obiecał sobie, że kiedyś znajdzie czas na obejrzenie go. Chociaż najpierw powinien wygospodarować choć chwilę, by kupić telewizor.

Tego problemu na pewno nie miała Donna French. Pokój, w którym Redfern siedział ze świadkiem, wyposażono w coś, co z powodzeniem mogłoby stanąć w Ambassadors Cinema w centrum Woking. Głowa Władimira Putina, który na oczach milionów właśnie odpalał olimpijski znicz, była wielkości piłki plażowej.

– Napije się pan herbaty? – zapytała pulchna, rudowłosa kobieta.

Miała twarz pogodną i miłą jak słoneczko z Teletubisiów, a głos niezwykle ciepły. W pierwszym odruchu Redfern

pomyślał, że pracuje w przedszkolu. Omal nie spadł z nowoczesnego skórzanego szezlonga, gdy się dowiedział, że jest dyrektorką więzienia dla kobiet w Send.

– Dziękuję – odparł, odrywając wzrok od prezydenta. – Chciałbym, żeby opowiedziała mi pani jeszcze raz, co wydarzyło się dziś rano.

– Może faktycznie powinnam streścić to panu, bo pana koleżanka wydawała się zupełnie nieobecna albo zszokowana moim odkryciem. To jej pierwsze morderstwo?

– Nie – odparł Redfern, usiłując ukryć zdziwienie. – Jest po prostu przemęczona. Wróćmy do sprawy, to znaczy do dzisiejszego ranka.

– Właściwie to wszystko zaczęło się w nocy – poprawiła go. – W pewnym momencie Jimmy, mój pies, zaczął ujadać. To było do niego niepodobne. Springer spaniele to raczej grzeczne psy.

– O której to było?

– Coś koło dziewiątej. Tak sędzę, ale nie patrzyłam na zegarek.

– Co wydarzyło się później?

– Jimmy nie dał się uspokoić, więc mąż go wypuścił. Zwykle tego nie robimy, bo...

Owszem, robicie, pomyślał Redfern.

– W każdym razie rano zastałam Jimmy'ego pod drzwiami garażu, z butem w pysku. Wydało mi się to bardzo dziwne. Pies był podekscytowany. Chociaż nie, to niewłaściwe słowo. On był zdenerwowany. Warczał i poszczekiwał, a gdy zrobiłam krok za próg, wystrzelił jak z procy w stronę pola. Poszłam za nim... – Urwała. – Pozwoli pan, że napiję się herbaty?

– Oczywiście. – David uśmiechnął się do niedawnych myśli.

Leżący obok kominka spaniel łypał na niego, nie podnosząc głowy. Redfernowi wydawało się, że oddychał ciężko i nierówno. Bez wątpienia był bohaterem tego śledztwa. Dzięki niemu kobieta uniknęła rozszarpania przez lisy, co z pewnością ułatwi pracę w zakładzie medycyny sądowej. David cmoknął przyjaźnie, na co zwierzę odpowiedziało kilkoma machnięciami ogona.

Jeśli pies coś wyczuł tego wieczora, to prawdopodobnie mają czas zgonu, koło dziewiątej, czyli nie tak późno, jak przypuszczał. A to już coś. Jeśli człowiek ze straży miejskiej będzie miał szczęście i ktoś rozpozna kobietę, śledztwo nabierze rozpędu. Wiedział, że jeśli będą mieli do czynienia z nieznanymi zwłokami, to sprawa szybko trafi do archiwum.

Do salonu weszła Donna French, niosąc bogato zdobioną filizankę, z której unosiła się para. Ostrożnie postawiła ją na marmurowym stoliku stojącym obok szeszlona i wróciła na fotel.

– Proszę lepiej nie cmokać. Jimmy jest bardzo nieufny wobec obcych.

– Właśnie widzę. Chciałbym, żeby wróciła pani jeszcze do wydarzeń wczorajszej nocy. Dlaczego nie poszłicie państwo sprawdzić, co zdenerwowało psa?

– Myśleliśmy, że to sarna albo lis podeszły do ogrodzenia.

– Rozumiem. Nie wołała pani Jimmy'ego do domu na noc?

– Wołałam, ale nie przyszedł. – Upiła łyk herbaty. – Byłam jednak zbyt zmęczona, by na niego czekać. Noc była ciepła, więc spokojnie mógł zostać na dworze.

- W porządku. A co było rano?
- Tak jak mówiłam, Jimmy przyniósł but. Damski, zakrwawiony but. Pana koleżanka go zabrała.

Do oczu Donny napłynęły łzy. Usiłowała odstawić filiżankę, ale ta pobrzękiwała niecznośnie o talerzyk, a uszko za nic nie chciało ześlizgnąć się z palca.

– To okropne, wie pan? – odezwała się. – Ona tam leżała taka sponiewierana, brudna i porzucona. Jak jakiś odpad, jakby jej życie nie było nic warte. – Otarła wierzchem dłoni oczy i dodała: – Jak pan zapewne wie, pracuję z kobietami z naprawdę bardzo różną przeszłością, ale uważam, że nikt, absolutnie nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Chciał się z nią zgodzić, ale nie potrafił. W najodleglejszym zakamarku umysłu drgała mu myśl, że są ludzie, którzy jednak na nią zasługują. Pamiętał dokładnie jedną z pierwszych spraw w Narodowej Agencji do spraw Przestępczości. Nawet w tej chwili mógł zamknąć oczy i odtworzyć obraz, z którym później mierzył się latami. Zwykły dom na Teddington, zwykły skórzany narożnik i siedząca na nim najzwyklejsza pięcioosobowa rodzina. Chłopczyk miał cztery lata, a dziewczynki – dziesięć i czternaście. Obok rodzice, szanowani obywatele. Wszyscy w piżamach i kapciach. Na stoliku przed nimi pięć misek z niedojezdzonymi płatkami. Czterolatek przyglądał się pluszowemu pieskowi na swoich kolankach, a reszta zapatrzyła się w żyrandol nad ich głowami. Zupełnie jakby Redfern trafił w sam środek sielankowego niedzielnego ranka. I tylko srebrna taśma na ustach psuła widok. Pięć zaklejonych twarzy i pięć strzałów z przyłożenia w czoło. Bez motywu, bez cienia litości, bez sensu. Sprawcą okazał się chory

psychicznie człowiek, któremu rodzina Thain przypominała jego własną. Młodemu, niedoświadczonemu agentowi zamknięcie w zakładzie wydawało się karą niewspółmierną do zbrodni.

Teraz znów obudził się w nim podobny zew.

Donna French jakby czytała mu w myślach.

– Stoimy po dwóch stronach barykady, panie inspektorze. Pan i pana koledzy widzą przestępcę i jego czyn. Widzicie zbrodnię, łapiecie drania i odstawiacie sprawę na półkę. To jest chwilowe i w gruncie rzeczy bezosobowe. My w służbie więziennej latami oglądamy nie sprawę, a człowieka. Wie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– No więc znalazłam tę biedaczkę na samym środku łąki, zakrwawioną, z obitą twarzą i podartymi rajstopami. Miała dziwnie podkurczone nogi, a wokół brzęczały nieznosne muchy. Była dziewiąta trzydzieści jeden. Nic więcej nie wiem, panie Redfern – ucięła sucho.

– Czy mogę porozmawiać z pani mężem?

– Wyjechał nad ranem. O siódmej miał lot do Waszyngtonu.

– Nie mówił nic o dziwnym zachowaniu psa?

– Nie, napisał tylko SMS-a, że siedzi w samolocie.

– Niech się ze mną skontaktuje, gdy wróci. A na razie dziękuję. – Redfern położył wizytówkę na marmurowym stoliku i wyszedł.

David pożałował, że nie poszedł z technicznymi i nie kazał im zabezpieczyć w pierwszej kolejności śladu buta. Mógłby teraz szczelnie otulić się kurtką. Wiatr przniakał przez każdy otwór przesiąkniętego swetra i sprawiał,

że inspektor trząśł się coraz mocniej. Ciemnoszare niebo nie pozostawiało złudzeń – będą pracowali w strugach wody do końca dnia.

Chłopaki zdążyły już rozstawić pawilon nad zwłokami, więc Ted skrzywił się, kiedy zobaczył policjanta.

– Co to była za popisowa? – zapytał, kiedy David podszedł do niego.

– O to samo chciałem zapytać – odparł. – Widziałeś, co się dzieje z pogodą. Nie mogliście szybciej się zebrać?

– Autobus trzydzieści pięć zepsuł się na samym środku ronda na Worplesdon. – Ted wzruszył ramionami. – Jesteśmy. Robota wre. Czego się czepiasz?

– Widziałeś ofiarę?

– Tak. Mnóstwo otarć, uderzenie w twarz, poderżnięte gardło.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Niewiele. Między nami mówiąc, stawiałbym na przecięcie tętnicy szyjnej ostrym narzędziem. Potwierdzę w laboratorium. Czas zgonu: w bardzo dużym przybliżeniu dwanaście godzin temu. A! I z tylnej kieszeni sukienki wystawało to.

– Spódnicy.

– Co?

– Ona ma na sobie spódnice.

– Od razu widać, że byłeś żonaty – skwitował z przekąsem Ted.

Nie, nie byłem, pomyślał Redfern i zrobiło mu się jeszcze zimniej. Ted trzymał na wyciągniętej dłoni plastikową torebkę ze znajomą zawartością.

– Karta hotelu Travelodge? A zatem przyjezdna.

– Albo prostytutka, która miała się spotkać z klientem. – Ted otaksował wzrokiem kobietę, która teraz leżała na brzuchu. – Stawiałbym na hotel w Guildford.

– Ty wiesz lepiej. Ostatecznie tam mieszkasz.

– Spieprzaj! – Ted zarechotał rubasznie.

Deszcz bębnił o brezentowy dach pawilonu, a ściekająca z niego woda tworzyła przezroczystą firankę. Redfern pożegnał się z patomorfologiem i szybko ją przekroczył, by uniknąć zalania. Ziemia pod nim się zapadała, gdy szedł w stronę kończących pracę techników. Ich szef, Matt Phillips, palił papierosa, chroniąc się pod rozłożystym dębem w narożniku pola.

– Przepraszam za tamtego. – Wskazał brodą na łyszego technika, który klęczał przy szutrowej ścieżce. – Ma niewyparzony pysk. Nikt nie ma do ciebie pretensji, Dave. Wewnątrzni uznali, że to była obrona konieczna, a ja im wierzę. Poza tym z tego, co wiem, Adrian Bones nie był już twoim partnerem.

– Daruj sobie, Matt.

Technik wypuścił kłęb dymu i zdusił niedopałek o korę drzewa. Pet wylądował w pustej paczce marlboro. Spod pachy mężczyzna wyciągnął zabłoconą wiatrówkę inspektora i podał mu ją.

– Dobra robota – skwitował.

Daruj sobie, powtórzył w myślach Redfern.

– Macie coś?

– Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni, jeśli o to pytasz. Poza tym zdjeliśmy ślady butów o dość małym rozmiarze oraz odciski trampek. Te drugie chyba zostawił świadek. Mamy też rozpryski na krzakach i trawie. Możliwe, że któreś

nie będą należały do ofiary. Do tego zużyte kondomy, papierki po cukierkach i cały syf, który tylko udało nam się wygrzebać z tego błota. Mam nadzieję, że laboratorium coś z tego wywróży.

– A pies?

– Zgubił trop przy zatoczce. Najwyraźniej ofiara została tu przywieziona autem.

– Opony?

– Przy takim deszczu? Zapomnij. – Matt machnął ręką i odszedł w stronę reszty ekipy.

Z Dużą Elszą poszło mu szybko. Prokuratorka Bente Hansen nie zyskała swojego przydomku dzięki białemu warkoczowi, którym się szczyciła. Jeśli Ted potrafił być zimny i opryskliwy, to Norweżka była prawdziwą władczynią Krainy Lodu. Redfern miał na nią niezawodny sposób, którego nikt na komendzie nie potrafił pojąć, a już na pewno zastosować w praktyce. Za traktowanie z szacunkiem Elsa odwodziła się elastyczną współpracą.

Wsiadł do auta i przekręcił kluczyk. Triumph odpowiedział miłym pomrukiem, jakby dopiero co wyjechał z fabryki. Ostatnia regulacja gaźnika przyniosła efekty, ale Redfern nie mógł w pełni cieszyć się z dzieła własnych rąk. Włączył nawiewy i siedział nieruchomo, patrząc przez przednią szybę na powoli pustoszące pole. Srebrny wyścig kropel deszczu rozmazywał obraz, ale nie przeszkadzało mu to. Myślał o bestialsko zamordowanej kobiecie. Ktoś znał Pyle Hill i wiedział, że nikt nie będzie mu tu przeszkadzał. Do najbliższych zabudowań było dwieście metrów, a przerośnięty żywopłot sięgał teraz górnej linii okien.

Najwyraźniej morderca to sprawdził.